Świat powieściowy.

Nr. 129 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Złamany a nieugięty.

Powieść w trzech częściach.

(Ciąg dalszy)

Generał Lemański wyszedłszy od Arnolda, czuł się szczęśliwym i spokojnym. Zobaczywszy się jednak w domu, sam z marzeniami swojemi, ujrzał na pogodnem niebie swego szczęścia i nadziei, chmury ciężkie, ołowiane.

Czy Paula zechce należeć do niego, wyrzec się swej dawnej miłości, tembardziej gdy się dowie, że Arnold, będąc jego synem prawnie uznanym, jest tem samem spadkobiercą jego nazwiska i majątku? — Myśl ta zaciemniła mu jasny horyzont, który przed chwilą słał mu ciepłe promienie nadziei.

Zaczynał wątpić, by ofiara Arnolda przydała mu się na co.

Człowiek zepsuty jak on, który żyjąc li tylko teraźniejszością, uważał życie tylko jako źródło zaspokojenia samolubnych i nizkich swych zachceń, taki człowiek nie mógł się dać na długo owładnąć uczuciu szlachetnemu. Dla tego w tej chwili żałował już, że dał się za daleko unieść pierwszym wrażeniom ojcowstwa. Na co właściwie potrzebny mu był ten syn, którego uznał dziedzicem nazwiska i majątku? Chyba na to, by czuł się skrępowanym wobec niego w wszystkich swych czynnościach! Ten syn piękny i młody przy nim, to jakby parafraza jego na każdym kroku, w każdem uczuciu śmiesznem i sztucznem w starcu, wzniosłem i szczytnem w młodzieńcu!

Generał przemyśliwał w tej chwili, jakim sposobem pozbyć by się mógł tego, którego w imię synowstwa obdarł z jedynego szczęścia, wydzierając ukochaną wiecznie istotę.

Nie mógł zaprzeć sam przed sobą, że w Arnoldzie płynęła krew jego własna. Był przekonany i podobieństwem uderzającem z Elizą, i listem jej, że młodzieniec ten miał wszelkie prawa do serca jego i imienia, że przyznaniem mu synowstwa w obliczu świata, zmazywał choć w części grzech popełniony, grzech lekkomyślności i zdrady, który w nieobliczonych skutkach stał się zbrodnią, spowodował rozpacz i śmierć przedwczesną biednej ofiary jego szału, i sieroce rzucenie w świat dziecięcia hańby i wstydu. Czuł to dobrze, ale zimny, bez serca egoista, perswadował znowu sobie:

— Eh! to są błędy młodości, które każdy popełnia! Trudno przecież wszystkie poboczne dzieci uznać za prawe! Głupstwo zrobiłem, dając się unieść pierwszemu porywowi serca, ale ja zawsze grzeszę tem, iż mam go za wiele! Chłopiec w tej chwili buduje już zamki na opoce i knuje zdradę zapewne! O, jestem pewny, że będzie pisał do Pauli... Szalony byłem, ale pójdę do niego, przemówię do serca i rozumu, zapłacę, lecz zobowiążę do tajemnicy urodzenia, która go łączy ze mną. Czyż jego, tak jak i Paulę, pieniądzmi bym kupić nie mógł? Niech jedzie jak najprędzej, jak najdalej, gdzie zechce, byle odjechał!...

Podobnemi myślami zajęty był dzień cały. Wieczorem poszedł do Arnolda, którego o umówionej godzinie w kawiarni nie zastał. Znalazł drzwi nie zamknięte, rzeczy porozrzucane, i coś było w atmosferze tego mieszkania, co mówiło, że właściciel jego nie wróci wiecej.

Generał przesiedział tam za dwie godzin czekając daremnie. Wyszedłszy, po kilku godzinach wrócił znowu i nie znalazł nic zmienionego. Pieniądze leżały poszarpane na podłodze, a więc nie wyjechał... Gdzież się podział?

Pobiegł do Pauli. Służąca oznajmiła mu, że drugi dzień już jak Arnolda nie było, że pani oczekując go, nic jeść nie chce, tylko ciągle płacze.

Generał raz jeszcze pobiegł do Arnolda, lecz ani śladu jego pobytu nie znalazł. Ten sam bez-

ład i pustka panowały w pokoju.

Myśl straszna strzeliła mu do głowy! Poszedł nad brzeg Dunaju, pytał, i tam mu powiedziano, że rano wyciągnięto zwłoki jakiegoś młodego człowieka. Poszedł na wskazane miejsce i obaczył trupa syna swego. Bielizna była znaczona literami jego, wzrost, włosy i suknie te same, twarz pokaleczona okropnie, w kieszeni zaś surduta znalazła się karteczka:

„Ciężkie życie moje! Nie mam siły ciągnąć je dłużej... kończę więc z niem! Bądźcie zdrowi wszyscy — i ty najdroższa bądź mi zdrowa!... Przebacz mi ojcze — z nią żyć nie mogę, bez niej nie chcę, ta przyczyna śmierci twego syna.“

A. K.

Była chwila, że generała ścisnęło coś w piersiach. Była to jednak chwilka przelotna, po której odetchnął z głębi piersi. Czyż on był temu winien? Wszak dawał mu wszystko: nazwisko, majątek, znaczenie.. Błogie jakieś uczucie spokoju napełniło pierś jego. Nikt nie będzie wiedział o tajemnicy, którą pragnął zachować; — spoczęła ona w głębinach rzeki! Paula widząc, że z tej strony szczęścia się nie doczeka, za rozumna, by w dziewiętnastej wiośnie pozostała wierna trupowi, popłacze, lecz złoto i brylanty otrą łzy z ócz jej, a potem, potem, da się powoli przekonać. Arnold jeden zasłaniał mu sobą promienie słońca, szczęścia i nadziei — dziś Paula jego być musi!

Spieszno mu było ubić już tę całą sprawę. Dał pieniądze na przyzwoity pogrzeb, jak mówił swego znajomego i poleciał do Pauli.

Uczucie jakiegoś mimowolnego żalu po synie odpychał, okłamywał sam siebie, że on nic temu nie był winien, tłumaczył się jak mógł przed sobą i naraz stał się wierzącym w Opatrzność, która śmiercią szlachetnego, pięknego młodzieńca, przychodziła w pomoc jego szalonej namiętności!

Z uśmiechem na ustach, z sercem mocno bijącem, wszedł po mieszkania artystki.

Biedne dziecię tęsknie wyglądało ukochanego, nie mogąc się domyśleć przyczyny jego dwudniowej niebytności. Daleką była od złego przeczucia i niepokoju, ale pierwszy raz w życiu smutno jej było, i tęsknie liczyła godziny i minuty.

Wieczór się zbliżał, a on nie nadchodził.

Był to dzień jej występu.

Postanowiła zaraz po przedstawieniu pojechać do niego. Cóż ją obchodziła niestosowność tego kroku?! Kochała silnie, namiętnie, i po za tą miłością wszystko było dla niej obojętne i drobnostkowe.

Właśnie wybiła godzina ósma.

Kareta stała w bramie i oczekiwała na piękną artystkę, by ją zawieźć do teatru. Ona w błękitnej, przejrzystej, króciutkiej sukience, cała błyszcząca złotem i drogiemi kamieniami, z odsłoniętem łonem i ramiony, godnemi dłuta mistrza, w złotym księżycu na złotych włosach, wołała właśnie o świeże rękawiczki, gdy na progu stanął Lemański.

Myślała, że przyszedł ją odwieźć. Skrzywiła się i rzekła:

— Generale, czy nie wiesz, co się dzieje z Arnoldem? Występuje on dzisiaj?

Generał milczał.

Miała wychodzić, stanęła jednak zaniepokojona milczeniem.

— Co się stało? — mów! — krzyknęła.

— Paulo, biedna Paulo! — szepnął cicho.

— Gdzie Arnold? — zawołała blada jak marmur. — Co z nim zrobiłeś? Zamordowałeś go zabójco?! — a głos jej był straszny, wzrok jeszcze straszniejszy.

— Nieszczęsna, nie ja go zamordowałem! Nie widziałem się z nim od czasu ostatniej mej bytności u ciebie... Nie wiem z jakiej przyczyny odebrał sobie życie!...

— Kłamstwo! — zawołała głosem strasznym. — Kłamstwo! — powtórzyła i twarz jej zalała się purpurą.

— Utonął w Dunaju — rzekł zwolna Lemański. — Widziałem jego trupa i dałem pieniądze na pogrzeb, który się odbędzie jutro rano. Możesz się przekonać...

Paula stała jak posąg boleści, bez słowa, bez myśli, bez czucia, straszna wśród stroju błyszczącego świetnością i bogactwem, istne uosobistnienie bolu i rozpaczy, które wyryły się okropnym wyrazem na jej licu tak młodem i tak pięknem.

I kto wie jak długo byłaby tak stała, gdyby nie pokojówka, która weszła ze świeżemi rękawiczkami.

Na odgłos jej kroków wstrząsła się febrycznie i krzyk niepowtórzony, jak ryk ranionej pantery, wydarł się z jej piersi. Jednym rzutem staneła na oknie i skoczywszy padła na bruk wś okrzyku zgrozy przechodzących ulicą.

Było to dziełem jednej chwili.

Gdy generał oprzytomniał o tyle, że zbiegł ze schodów, zastał przed domem skupiony tłum gawiedzi, a wśród niego bez znaku życia leżącą piękną baletniczkę.

W zgromadzeniu tem znaleźli się i lekarze.

Po długich badaniach dosłuchali się lekkiego oddechu i zakonkludowali, że jeszcze żyje, lecz ma złamane obiedwie nogi.

Te śliczne, drobne nóżki, w białych, ażurowych pończoszkach, na których ukazanie już się niecierpliwiła w teatrze licznie zgromadzona publiczność, nóżki te teraz były bezwładne, a właścicielka ich leżała konająca na płytach kamiennych wśród licznej gawiedzi.

Koniec części drugiej.

Spadek po wuju Hieronimie.

NOWELLA.

II.

Tydzień minął, a ksiądz Jan nie znalazł czasu na podróż do Paryża. Musiałby był dzień cały na to odłożyć, a miał tyle zawsze spraw do załatwienia, nie cierpiących zwłoki. Sam jeden załatwiał funkcje kościelne w kilku wsiach parafji bardzo rozległej; oddalenie się z domu choćby na dzień tylko, uważał niemal za dezercją z posterunku.

Ku wielkiemu zdziwieniu panny Franciszki, nie wspominał już o swojej Judycie. I ona nie pisnęła więcej o tej kwestji drażliwej, uszczęśliwiona, iż nie potrzebuje wygłaszać zdania o przedmiocie, którego dobrze nie rozumiała, a który właśnie, z powodu tej niewiadomości, wielce ją niepokoił! Od tego wieczoru ksiądz prawie nie otwierał fortepianu, wydawał się mocno zniechęcony, był smutny, milczący i nerwowo rozdrażniony.

Nadszedł list drugi z Paryża, w którym notarjusz naglił, prosząc, żeby proboszcz nie zwlekał z przyjazdem, gdyż sprawa bardzo ważna, musi być na miejscu w notarjacie załatwioną. Tym razem nie można się już było wykręcić, proboszcz zatem po Mszy św. odprawieniu, odjechał do rannego pociągu, zostawiając pod opieką ciotki Franciszki nie tylko dom własny, ale i parafię całą.

Gdy wrócił późnym wieczorem, zastał ją na tem samem miejscu, w saloniku, z pończochą w rękach, tylko dziś lampa zagasła, a starowina drzemała z głową na pierś spuszczoną, utrudziwszy się niezwykle zajęciem podwójnem i wielką odpowiedzialnością, którą [brała] całkiem serjo, pod księdza niebytność. Musiał [za]czekać, aż odzyska przytomność, nagle z pierwszego snu się zbudziwszy, namaca na stole zapałki, lampę zaświeci napowrót i wszystko nazad do pewnego ładu przyprowadzi. Wtedy tonem poważnym, uroczystym, wygłosił dwa tylko słowa:

— Jestem bogaty!

Co on mówił? Przetarła oczy... zapewne nie całkiem jeszcze rozbudzona i coś jej się we śnie przesłyszało!...

Powtórzył atoli z naciskiem:

— Zostałem bogatym!

— Ty! ty! Jasiu?!

— Tak ciociu Franciszko... Mam trzydzieści tysięcy franków rocznego dochodu.

Podejrzenie straszliwe strzeliło jej do głowy... Zmierzyła go wzrokiem niespokojnym... Ale nie, mówi jasno i całkiem na serjo, jak człowiek przy najzdrowszych zmysłach!

— Wujaszek Hieronim... wiesz przecie... o którym mówiliśmy niedawno, myśląc, iż od dawna nie żyje... Otóż umarł dopiero przed miesiącem, wróciwszy do Paryża, z wielką fortuną... Polecił notarjuszowi odszukać rodzinę... zmarł zaś nagle, nie doczekawszy się wyniku czynionych poszukiwań. Jestem dziś jedynym jego spadkobiercą i rozporządzam kapitałem, który będzie mi niósł rocznie trzydzieści tysięcy franków.

Z rękami pobożnie złożonemi, z okiem łzą zwilżonem, stara panna przebiegała wzrokiem fotografie tych wszystkich drogich umarłych, na ścianach w ramkach czarnych porozwieszane. Myślą była przy owych zmarłych, co za życia zaznali tylko smutek, troskę o chleb codzienny i cierpienia wszelkiego rodzaju. Pieniądze dziś niepotrzebne, niepożyteczne, byłyby może tym biednym młodym istotom, dały szczęście, zdrowie, życie nawet! Nadto religijna, aby oburzać się przeciw wyrokom Opatrzności, jak to czyni nie jeden, mimo całej rezygnacji chrześcijańskiej, nie mogła wstrzymać się od gorzkiego wykrzyknika:

— W sam czas przyszło!... Nie przyjąłeś zapewne?... Na co ci teraz tych pieniędzy!

— Dla czegoż miałbym nie przyjąć spadku, który mi się z prawa należy? Gdyby siostry moje żyły jeszcze, były wyszły zamąż i miały dzieci, może bym część moją odstąpił... Nie godzi się jednakże odtrącać daru, który nam zsyła ręka Opatrzności, tem bardziej, iż za pomocą pieniędzy, można tak wiele w świecie zdziałać dobrego.

Słusznie mówił! Pannę Franciszkę zdziwił jednak spokój zimny księdza Jana, w obec faktu tak wielkiej doniosłości. Długo jeszcze, długo, rozwodziła się nad ironją losu, który zsyła fortunę, gdy już grób pochłonął wszystkich członków rodziny. Rozeszli się wreszcie.

Aż do dnia białego nie zmrużyli oka oboje. Ciotka położyła się wprawdzie, nie dał jej usnąć atoli chód ciężki, miarowy księdza Jana, który przez noc całą o uszy jej się obijał, mimo, iż mały salonik przegradzał ich pokoje sypialne. — Jakież to projekta układa na

przyszłość? dlaczego zasnąć nie może? — myślała z niepokojem.

Jakże byłaby się przeraziła, zajrzawszy na dno biednej jego duszy! Pod pokrywką zimnej rezygnacji, wrzała w tej piersi burza straszliwa, płonął wulkan cały żądz niezadowolonych, namiętności tłumionych gwałtownie i tych wszystkich pragnień człowieka ujarzmionego od lat dziecięcych, skazanego na ofiarę niemal od urodzenia, którego nikt się nigdy nie spytał: „Czem chcesz być?“ — tylko z góry powiedziano bez miłosierdzia: „Musisz być księdzem!“

Gdyby ten majątek był przyszedł wcześniej! Mógł pobierać nauki, jak każdy inny, nie z łaski w seminarjum; mógł by był obrać sobie zawód jakikolwiek, miałby dziś ognisko domowe, żonę, dzieci, to wszystko, do czego serce jego rwało się, za czem tęsknił od lat najmłodszych, a teraz wegetuje sam jeden, ze starą ciotką terkotliwą za całe towarzystwo! I na cóż mu istotnie tych pieniędzy? Czyż wrócą mu wolność? czy zdejmą z rąk i z nóg krępujące krok jego każdy ciężkie kajdany?!

Nazajutrz starała go się zręcznie wybadać panna Franciszka. Zbył ją atoli krótko i sucho: — „Że przespał noc całą najwyborniej, że ją chyba jaka zmora trapiła, bo co do niego, zasnął z wieczora tak twardo, iż nic a nic nie słyszał co się w domu działo.“ — A więc kłamie! Musiały go zatem nagabywać w nocy myśli bardzo występne, bardzo niebezpieczne, skoro, aby je ukryć przed ciotką, nie zawahał się przed kłamstwem nawet!

Chciała szczerze przyjść mu w pomoc, pocieszyć, podźwignąć moralnie, musiała by była atoli wszcząć z nim dyskusję, która naprzód trwogą śmiertelną duszę jej przejmowała. Śledziła go więc tylko w milczeniu. Oczy mające więcej w tym kierunku doświadczenia, byłyby może potrafiły przeniknąć maskę obojętności, którą przywdziewał, gdy z ciotką się schodził; panna Franciszka atoli zadowolniła się pozorami i uspakajała powoli. O spadku mało kiedy i wspominał. Raz tylko zapomniał się w obec niej wieczorem. Siedział, siedział, zadumany, aż naraz zerwał się z palcami kurczowo we włosy wplecionemi i szepnął głucho, z dzikim błyskiem w źrenicach:

— Za późno!... za późno!...

Na szczęście, wybuch podobny więcej się nie powtórzył, a stara panna, po chwilowem wstrząśnieniu, znowu wróciła do dawnego stanu, niczem nie zamąconego spokoju i do błogiego przekonania, że jej obecność i troskliwość macierzyńska, powinny księdzu Janowi wszystko i wszystkich zastąpić.

Tak minęły dwa tygodnie. Jednego południa zobaczyła księdza, odkładającego na bok gruby brewiarz, który przebiegał oczami z widocznem roztargnieniem i chwytającego pospiesznie za laskę i kapelusz, jakby powziął nagle zamiar nieodwołalny.

— Gdzie to ksiądz idzie? — rzuciła od niechcenia.

— Do panny Margott...

— Znowu do tej... do tej... awanturnicy?... Mówiono mi, że się ma znacznie lepiej, ciebie więc już teraz nie potrzebuje...

— Co ciotka o tem wiedzieć może!...

— Ale to wiem i rozumiem, iż nie warta, żebyś tak często u niej bywał. Bezwstydna lampartka!... Prowadziła przecież w Paryżu życie najskandaliczniejsze...

— Bah! A Chrystus nie przebaczył cudzołożnicy? i czy nie jest powiedziane w piśmie świętem: „Że więcej będzie radości w niebie z jednego nawróconego, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych!“

Wyszedł krokiem szybkim po tej admonicji, wypowiedzianej tonem suchym i ostrym, a ona siedziała na miejscu, skamieniała z wielkiego oburzenia. Musiał już być daleko, gdy stara panna głos z piersi ściśniętej wydobyć potrafiła i sama do siebie z cicha mruczała, jak niedźwiedź podrażniony:

— Jeszcze czego nie stało!... Miałaby w niebie być lepsza Margotta odemnie!... W takim razie ładnie by wyszły kobiety uczciwe!... Wartoby tak jak ja przez całe życie cnotę pielęgnować!... Dzięki Bogu, nie jestem ja filozofką, heretyczką, co to myśli, że wszystkie rozumy pojadła i nawet w świętą ewangelję nie wierzy... ale ta wielka radość w niebie jakoś mi się nie może w głowie pomieścić!...

Przestraszona zuchwalstwem własnych myśli, usta sobie dłonią zatkała, aby zaś skuteczniej jeszcze bieg ich przerwać, porwała szybko ze stołu łokieć stolarski składany i jakąś książeczkę z ołówkiem z boku zatkniętym, służącą widocznie do notatek, a zdjąwszy klucze na kołku zawieszone, do kościoła pospieszyła.

Gdy wróciła w godzinę może, zastała już w domu księdza Jana list jakiś piszącego. Spostrzegłszy ciotkę, list zaczęty wsunął pomiędzy bibułki różowe. Ten ruch wielce jej się niepodobał, odeszła też do kuchni zadąsana, drzwiami silnie trzasnąwszy. Na progu już będąc, rzuciła księdzu z przekąsem:

— Nie żenuj się mnie bynajmniej i pisz sobie dalej!... Nie podglądam i nie pragnę znać twoich tajemnic.... Chciałam tylko o czemś ważnem z tobą pomówić.... ale skoro nie masz czasu.... zaczekam....

Zanim list zaadresował, wyjąwszy z bocznej kieszonki pulares, poszukał jakiejś karteczki, zapewne noszącej nazwisko tego, któremu list miał być wręczony. Mruknął z niechęcią, nie mogąc zrazu odczytać papieru, literami niekształtnemi zabazgranego.

— Poczciwa Margotta nietęga, jak w kaligrafji tak i w pisowni!

Ciotka przypuszczała, iż podjął się w imieniu chorej penitentki, wyrównać dług jakiś dawny, ciężący na sumieniu dogorywającej suchotnicy. Skończył wreszcie.... chciała znowu szturm przypuścić, a z listem wysłać posługaczkę.... nadaremnie! Oświadczył, iż list sam na pocztę zaniesie. Jakaż to była sprawa tak ważna?

— Dobrze! Pójdziemy razem! — zapowiedziała bez wahania panna Franciszka, i zarzuciwszy na prędce

chustkę na siebie i kapelusz duży słomiany na głowę, wyruszyła z księdzem pospołu.

Chociaż szli szpiesznie, a ciotka musiała dobrze krótkie nóżki wyciągać, aby sprostać w kroku bratankowi, język jej obracał się szybko jak na pytlu, a musiała przygotować się oddawna z przemową, i przedmiot tejże wystudjować dostatecznie, skoro słowa płynęły jej gładko, prądem niewstrzymanym, niby fale rzeki, ku morzu spieszące. Cel przechadzki był dość oddalony; droga tam i nazad całą godzinę już zabrała, a ciotunia mełła i mełła, nie wyczerpawszy dotąd przedmiotu. Stanęli przed drzwiami probostwa; ona zasapana z chodu i gadania, ksiądz zamyślony głęboko, jakby słuchał w ducha skupieniu długiej perory ciotuni szanownej. Naraz cichość w koło niego zalegająca, ostrzegła, że trzeba by coś odpowiedzieć.... ale co? W tem sęk, bo głos ciotki piskliwy, terkotał mu wprawdzie nad uchem przez godzinę, Bóg świadkiem atoli, że słowa jednego w pamięci nie zatrzymał, z tej całej paplaniny!

— Hm! hm! — krząknął zmięszany. — Zapewne.... być może.... zobaczymy!...

Otworzył drzwi pośpiesznie, i nie patrząc więcej na ciotkę, zasiadł do fortepianu,

Skamieniała! To więc było jedyną jej nagrodą? Spodziewała się uniesień, wykrzykników radośnych nad jej pomysłem niezrównanym, uścisku serdecznego przynajmniej na znak uznania i wdzięczności!... O czem że on tak myśli?... Zdawał się jednak słuchać jej wywodów z uwagą natężoną.... Plan cudowny, nadzwyczajny, prawdziwe z góry objawienie, które jednym zamachem przecinało węzeł gordyjski, rozwiązywało trudne zadanie jak użyć bajecznej fortuny, rzuconej przez los ironicznie pod nogi człowiekowi samotnemu i związanemu świętemi kapłana obowiązkami. Nie jadła prawie, nie spała przez dwa tygodnie, przemyśliwując nad wspaniałą świątynią, w guście paryskiej Marji Magdaleny, która miała zastąpić skromny, walący się niemal wiejski kościółek. Wszystko przewidziała, obrachowała, na łocie wymierzyła, ile będzie kaplic, ołtarzy, okien malowanych, posągów i obrazów; pocechowała już nieledwie i ponumerowała stosy kamienia ciosowego, obliczając najściślej wydatki. I pocóż tak się śpieszyła? Po co tak goniła z ostatnim obrachunkiem? w myśli, iż gdy wszystko przedłoży bratankowi, zatryumfuje nad Margottą, i umysł księdza zajmie wyłącznie dla siebie i planu swojego. Wszak takie cacko, malowane, wyzłacane, strojne jak młoda panienka do tańca, mogło księdzu Janowi zapewnić imię nieśmiertelne przynajmniej w obrębie dwudziestu mil kwadratowych! Dąsała się i chmurzyła przez resztę wieczoru, ksiądz atoli tak był na nowo zatopiony w swojej Judycie, iż chmur owych wcale nie zauważył.

Ta scena odbywała się na probostwie w sobotę wieczorem. We wtorek, w czasie, kiedy pierwszy pociąg przedpołudniowy, zatrzymał się na stacji w F., jakiś mężczyzna młody i przystojny, zmierzał prosto ku skromnemu domkowi księdza Jana, drogą od dworca kolei idącą. Proboszcz nie był jeszcze wrócił z cmentarza, dokąd odprowadził po mszy rannej, zwłoki któregoś ze swoich parafianów. Panna Franciszka przyjęła na progu domostwa sztywnym dygiem i nader kwaśną miną obcego intruza, który wydał jej się wielce podejrzanym i niebezpiecznym, dzięki długim włosom w pierścieniach naturalnych, aż na ramiona spadającym, wąsikowi ciemnemu, podkręconemu do góry z miną gęstą i wyzywającą, dzięki nareszcie krótkiej marynarce aksamitnej, kołnierzowi od koszuli mocno wygorsowanemu, i tym podobnym ekscentrycznościom w ubraniu całem, co wszystko nie licowało z wyobrażeniami parafiańskiemi i zacofanemi, co do zasad ścisłej przyzwoitości, poczciwej starej panny.

— Jak mam honor?... — dygnęła powtórnie, z widocznem *votum* nieufności w spojrzeniu, nie myśląc bynajmniej z progu ustępować.

— Adolf Martin, do usług pani! — skłonił się szarmancko nowoprzybyły, a koło ust jego pełnych i rumianych, zaigrał na chwilę uśmiech sarkastyczny. — Przybywam z Paryża listem wezwany.... Wszak tu mieszkanie proboszcza?

— Aha! to do niego pisał ksiądz w sobotę ów list tajemniczy! — pomyślała Franciszka, a głośno dodała: — księdza nie ma w domu.... miał dzisiaj pogrzeb. Niech pan będzie łaskaw przyjść później.

— Prosiłbym w takim razie o adres panny Róży Margott.... o ile wiem mieszka w tej samej wsi?

— Margotta?... nie znam zupełnie!

I stara panna obrażona tem pytaniem impertynenckiem, z fukiem drzwi intruzowi przed nosem zamknęła. Nie koniec tu był niestety dzisiejszych niespodzianek! Skoro ksiądz o gościu się dowiedział, nie posiadał się z wielkiej radości, kazał natychmiast upiec kurczęta do obiadu, i sam zszedł do piwnicy, wyszukać dwie butelki wina najlepszego; gdy zaś w godzinę później ujrzał na drodze nieznajomego, wybiegł naprzeciw z wszelką rewerencją, ale był dziwnie wobec niego ośmielony. Wyglądał prawie tak pomięszany, jak wówczas, gdy spadła na ciche probostwo, niby piorun z nieba jasnego, wizyta nowego biskupa, objeżdżającego incognito całą dyecezję. Może ten nieznajomy jest i czemś więcej, niż się z pozoru domyślała? Kto wie? Księża bywają czasem wmięszani w takie awantury romansowe! a Margotta, (jak utrzymują) za swoich pięknych dni miała nawet stosunki z książętami i ambasadorami państw ościennych.

Zaledwie kwadrans minął, a już do kuchni, gdzie panna Franciszka ze zdwojoną gorliwością objad wspaniały przyrządzała, doszły dźwięki fortepianu. Teraz do reszty osłupiała. Ksiądz i grał i śpiewał Judytę od deski do deski. Znała już dobrze te kawałki. Nie ustali muzykować, póki waza z zupą dymiącą na stole się nie zjawiła.

Podczas objadu, badała nieznaną jej osobistość. Nie był to żaden pan wielki i bogaty, tylko po prostu

artysta muzyk, zachowujący się zresztą i wyrażający nader oględnie i przyzwoicie, czego się wcale nie spodziewała u człowieka z tej sfery społecznej. Kilka razy napomknął z daleka o pannie Róży Margott, co u proboszcza wywoływało napad kaszlu gwałtownego, i wiele znaczące mruganie oczyma, poczem nieznajomy, jakby się naprzód umówili, zmieniał natychmiast tok mowy, przenosząc ją na inny przedmiot. Obecność ciotki zawadzała im najwidoczniej!... trzeba zatem wynieść się zaraz po obiedzie, do swojego pokoiku.

Tylko się tam znalazła, i chciała z drutami w rękach, uciąć sobie zwykłą drzemkę poobiednią, gdy fortepian znowu się odezwał, a głos księdza Jana płynął w dal z coraz większą siłą i zapałem.... Tak się bawili aż do samego wieczora, póki nie nadeszła pora odjazdu pociągu, z powrotem do Paryża. Wymknęli się furtką przez ogród, obydwaj nieśli pod pachą foljały, w papier niebieski oprawne, cały ów stos zeszytów, zawierających w sobie partycję Judyty. Paryżanin je zabierał.... na co, po co?

Skoro wrócił z kolei ksiądz Jan, musiał poddać się formalnej indagacji. Nie tęgi był w sztuce zmyślania, prędko też szczerą prawdę z niego wydobyła. Ten młody człowiek był muzykiem wielce utalentowanym, sam nawet pisał różne kompozycje, zaprosił go więc na wieś, aby przejrzał partycję Judyty, i powiedział zdanie swoje o tem dziele.

— A ksiądz go skąd zna?

Zawahał się chwilę z odpowiedzią.

— Wspomniano mi o nim....

— Margotta zapewne.... czy tak?

— Tak... panna Margott.... Jest on synem dawnego dyrektora opery....

— No! teraz jestem w domu.... ten list, z którym kryłeś się przedemną... adres od Margotty przyniesiony... A ja byłam najmocniej przekonaną, że ty z tą grzesznicą o niczem innem nie rozmawiasz, tylko o jej dusznem zbawieniu!

Cieszyło starą pannę księdza pomięszanie. Siedział cicho, jak dzieciak złapany przez matkę na gorącym uczynku, przy szafce z łakociami. Na szczęście, ciotka kochająca go po swojemu, i zaciekawiona, co też Paryżanin powiedział o dziele bratanka, nie miała czasu na wymówki i łajanie. Spytała więc szybko:

— Cóż powiedział przyjaciel Margotty?

— Ależ obsypał mię pochwałami!... mówił między innemi.... Eh! — machnął ręką — wolę ciotce nie powtarzać tych wszystkich komplimentów, w które sam dotąd nie wierzę.... Nie posądzam go, żeby mnię chciał oszukać.... może atoli dał się unieść chwilowemu zapałowi.

— I wziął twoją Judytę do Paryża?

— Tak jest.... pokaże ją innym jeszcze artystom. Z cokolwiek większą bystrością i talentem spostrzegawczym, byłaby ciotka się domyśliła, iż nie całą prawdę przed nią zdradził. Za mało na to jednak miała sprytu; inne zresztą myśli umysł jej wyłącznie zajmowały. Czy chciała i w nim wzbudzić pragnienie mniej ziemskie, podnioślejsze, czy też chciała korzystać z księdza dobrego humoru, aby wybadać go zręcznie, co sądzi o jej planach i zamiarach w przyszłości, dość że zaraz rzuciła mu pytanie, stosujące się zupełnie do czego innego:

— Nic o twoim spadku nie wspominasz.... Cóż myślisz przedsięwziąć z tą wielką fortuną?... Czyś się zastanowił nad projektem przezemnie podanym?

— Nie! — odparł tonem suchym.

Otworzył brewiarz, który zwykł mu był służyć w razach niebezpiecznych, za puklerz ochronny.... i więcej o tej całej sprawie mowy nie było.

III.

Proboszcz wysłał kilka listów do Paryża, i nawzajem kilka odebrał, nie wspomniał jednak o nich ani jednem słowem przed ciotką. Uczuła wreszcie, iż byłoby poniżej godności kobiecej, zmuszać bratanka do zeznań natrętną ciekawością. Udawała zatem zupełną obojętność na wszystko, co wychodziło po za obręb jej zajęć domowych, gotowa, gdyby ją kiedy jeszcze ksiądz o zdanie zapytał w innym przedmiocie, nie tyczącym się wprost kuchni lub obory, gotowa była odesłać go po odpowiedź do przemądrej Margotty!

Nie bawiąc się w proroka, przewidywała jednak, iż to sprawa nieczysta, musi zatem źle się skończyć. Nie lepiejże dla ciotki, trzymać się na uboczu, i w nic palców nie wtykać, niż potem brać połowę odpowiedzialności na barki swoje? Kto piwa nawarzy, niech je sam wypije! Ksiądz Jan nie myślał zresztą o dzieleniu się z ciotką przygniatającym go widocznie ciężarem. Milczał jak zaklęty, zdradzając się jednak co chwila, to tem, to owem. Był wiecznie roztargnionym, nerwowo rozstrojonym, jak człowiek, który wszystko na jedną kartę postawił, i lęka się czy stawki nie przegra. Im więcej radby był go zataić, tem jaskrawiej występował trawiący go niepokój. Najoczywiściej knuł zamiary bardzo niebezpieczne!... Cóż jednak robić zamyślał? Na co czekał tak gorączkowo?

Pewnego wieczora oświadczył ciotce bez przygotowania, że dzień jutrzejszy spędzi w Paryżu. Zdziwienie przełamało lody, któremi była ciekawość swoją oszańcowała, spytała zatem ostro:

— A to po co?

— Potrzebuję rozmówić się z panem Martin.

Ton odpowiedzi był dziwnie energiczny, niemal wyzywający. To ją podrażniło.

— Czyż nie mógł by ten jegomość tu się potrudzić,

jak to już raz uczynił? — odrzuciła z przekąsem. — Doprawdy, zmieniłeś się w krótkim czasie do niepoznania! Dawniej nie śmiałeś oddalić się z parafji, choćby tylko na godzin kilka!

Poczerwieniał z gniewu, i odparł z goryczą, że wie co czyni, i nikomu nie wolno kontrolować jego czynności! Stara panna również języka — jak to mówią — nie pożałowała. Z jednej i z drugiej strony padały słowa coraz ostrzejsze, i pokłócili się raz pierwszy w życiu na serjo. Zgoda dopiero nazajutrz nastąpiła, gdy ksiądz na kolej wyjeżdżał.

W samym Paryżu czekała księdza Jana podróż druga, o wiele od pierwszej mozolniejsza. Adolf Martin zamieszkiwał wraz z liczną rzeszą artystów in spe, żyjących nadzieją, a obecnie gołych i głodnych jak on sam, mieszkał tedy w jednym z tych zaułków ciemnych i niedostępnych, których pełno mieści się i gubi w każdem większem mieście, i tam jeszcze — zapewne, aby myślom jego bliżej było do nieba — zawiesił swoje Penaty pod samym strychem na szóstem, czy siódmem piąterku. Odszukawszy z wielką biedą ów zaułek, istną jaskinię zbójecką! ksiądz Jan zmęczony, przestraszony, zaczął piąć się w górę po schodkach ciemnych i wązkich, mających za całą poręcz sznur gruby, wilgotny i zatłuszczony, do którego dłonie lepły formalnie. Panowały tu mimo godziny południowej i dnia słonecznego, ciemności egipskie, stopnie szły niemal prostopadle, gorzej jeszcze, niż w owej historycznej Drabinie Jakóba Patryarchy. Mimo wstrętu, jaki w nim wzbudzał sznur brudny obrzydliwie, musiał go się trzymać całą siłą, aby nie spaść głową na dół. Na każdem piątrze, drzwi otwierały się i zamykały z łoskotem, słychać było tu i owdzie, bądź krzyki i przekleństwa, bądź śmiechy i piosnki wyuzdane; kobiety więcej niż podejrzane, na pół nagie, z bezwstydem w oczach dziką chucią płonących, z uśmiechem cynicznym na ustach zwiędłych przedwcześnie, a przesiąkłe wonią alkoholu, ocierały się o postać księdza mierząc od stóp do głowy wzrokiem ciekawym, wyzywającym, jakby się pytały: „A ty skąd się tu wziąłeś czarny kruku w sutannie? Czyś przyszedł śmierć zwiastować wesołej czeredzie, żyjącej z dnia na dzień, a myślącej li tylko o dogodzeniu swojej zmysłowości, o ile na to czas i pieniądze pozwolą? Czy może pragniesz i ty raz w życiu z nami swobodnie pohulać?“ Księdza czoło pot zimny zrosił, ogartywała go trwoga śmiertelna, i byłby najchętniej drapnął nazad, nie widząc się wcale z panem Martin. Była to jednak chwila słabości, która prędko minęła. A jego bohaterka Judyt waleczna?! Ta z pewnością więcej jeszcze widziała, i nawet sama doświadczyła, przeciskając się przez tłumy żołdactwa pijanego i rozpasanego, do namiotu Holofernesa, a przecież odstraszyć się nie dała, od zamiaru raz powziętego. Zresztą dopływał szczęśliwie do przystani.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy.)

XXII.

Od dwudziestu czterech godzin Michał Balthazar opuścił był oberżę z strzelbą na ramieniu, chcąc na zawsze porzucić tę chatę. Przez te dwadzieścia cztery godzin matka Balthazar nieprzestawała bluźnić i przeklinać, a obaj synowie podniecali ją jeszcze.

— Michał jest bez serca! — mówił Szymon.

— Gałgan — wtórował Jan.

— Zły syn — dodawała matka.

I tak cały dzień spędzili na kłótni.

Przy śniadaniu, stara, która złościła się coraz więcej, rzuciła butelkę w głowę Szymonowi. Potem znowu, obaj bracia tak się bili, że zaledwo stara zdołała ich rozdzielić. Aż nareszcie Szymon, który był jeszcze z nich najrozsądniejszy, odezwał się, że zamiast kłócić się, lepiejby zrobili, idąc szukać Michała i zmusić go do powrotu.

— Słusznie masz mój chłopcze — odrzekła stara — ale uciekł dopiero wczoraj wieczór. Jak przenocuje dwie lub trzy noce w lesie, powróci sam z pewnością, a wtedy — dodała z ponurą ironią — jeżeli nie przeprosi się z nami, rozmówię się z nim.

— Wiesz może jeszcze co matko? — zapytał drwiąco Jan.

— Et co tam — odpowiedziała. — Co wiem, niech was nie obchodzi;... jeżeli nie podzieli się z nami, obaczy!

I nie chciała mówić nic więcej. I dzień tak upłynął, a wieczór nadszedł.

Nie liczono już na Michała, i gdy wieczór nastał, stara i obaj bandyci zasiedli do wieczerzy. Ale nie długo zgadzali się; wkrótce kłótnia znów się rozpoczęła.

Synowie zarzucali matce słabość do Michała, który był najmłodszy.

Stara znowu mruczała:

— Jeżeli ten chłopiec taki, samiście winni!

— A toż dlaczego znowu? — zapytał Jan.

— Ponieważ obaj zawsze biliście go gdy był mały.

— Bo był próżniakiem! — odrzekł Szymon.

Stara nic nie odpowiedziała, mogła jednak była powiedzieć, że Michał pracował inaczej jak bracia, jeżeli u tych ludzi pracować znaczyło być zbrodniarzem. Ale milczała.

I dwaj bracia sprzeczali się ciągle, gdy nagle drzwi się otwarły i Michał wszedł.

Michał był spokojny, cichy, trochę zachmurzony.

— A! jesteś złodzieju! — zawołała matka.

— Łotrze! — szepnął Jan.

Szymon zaś wpatrzywszy się w Michała, zawołał:

— Jeżeli nie przynosisz pieniędzy, niepotrzebnie wróciłeś. Nie wypuścimy cię całego!

Michał usiadł koło drzwi, strzelbę wziął między nogi i rzekł obojętnie:

— Nie chcę kłócić się z wami, dla kilku franków. Dostałem tysiąc franków w zamku i podzielę się z wami.

— Tysiąc franków! — wykrzyknęła stara.

A zmieniwszy nagle głos i obracając się do swych dwóch synów, rzekła:

— A wy mówiliście przed chwilą, że Michał jest próżniakiem!

Michał odpiął pas skórzany i rzucił go na stół. Pas wydał dźwięk metaliczny. Starej oczy zabłysły. Jan chciał chwycić ten pas lecz Michał go zatrzymał.

— Zaczekaj — zawołał — musimy wpierw się porozumieć.

— To bardzo łatwo — rzekł Szymon. — Jeżeli jest tysiąc franków, wypada dwieście pięćdziesiąt na każdego z nas.

— Jakto?! — zawołał Michał. — A więc ja, który pracowałem, dostanę tylko tyle co wy, którzyście nic nie robili?...

— Należymy przecie do jednej rodziny — odezwała się stara. I teraz znów ona chciała zabrać pas.

— Pierwszego który ruszy moje pieniądze — wrzasnął Michał wstając — zabiję jak psa!

Strzelby braci wisiały znów daleko od nich, Michał tylko miał swoją i obrócił ją kolbą, jakby maczugą.

Stara cofnęła rękę.

Michał odezwał się znowu z wyrazem człowieka górującego nad położeniem:

— Ponieważ wróciłem i oto mój pas, widocznie, że chcę wam dać część waszą, ale pierwej musimy się porozumieć.

— Właśnie tego chcę — odpowiedziała stara — byle tylko prędko.

Ponieważ Michał nie zdejmował swego pasa od tygodnia i bracia nie mogli sprawdzić wiele zawierał, nie przyszło im na myśl, że mogła tam być wczoraj daleko większa suma jak mówił. Zresztą tysiąc franków to ładny pieniądz dla kłusowników.

Dla tego też żadne z nich nie podejrzywało ani na chwilę Michała i nie domyślali się, że przynosił on do podziału tylko dwudziestą część z tego co dostał.

— Ja — rzekł Szymon — chcę moją część.

— I ja także — odezwał się Jan.

— I ja także! — wołała stara.

Michał nic nie odpowiedział, ale wziąwszy pas odwiązał sznur zatłuszczony, podniósł go jakby worek zboża i wysypał pieniądze na stół.

Dukaty złote, całkiem nowe Corinny Destremont, posypały się z łoskotem, który odurzył i olśnił tych bandytów.

Michał ustawił je w cztery słupki równe.

Ponieważ trzymał ciągle strzelbę w ręku, nikt nie śmiał ruszyć złota. Nareszcie odezwał się znowu:

— Tym razem jeszcze dzielę się z wami, ale to raz ostatni.

— Jakto? — zapytała stara.

— Bo was opuszczam — dodał Michał.

— Opuszczasz nas?

— Tak.

— I dlaczegoż to?

— Bo wolę zarabiać sam na życie, jak zarabiać dla was wszystkich.

I włożył część swoją do pasa, podczas gdy stara Balthazar i jej dwaj synowie rzucili się na tamte trzy kupki złota.

Michał wstał.

— Jakto?! — zawołała stara, uśmiechając się do złota i przebierając je w rękach, — jakto? i ty nie żartujesz robaku?

— Nie matko.

— Chcesz nas opuścić?

— Tak.

— Ale gdzież pójdziesz?

— Nie wiem jeszcze... obaczę...

— Okolice te jednak dobre.

— Gdyby były tak dobre — odrzekł Michał z ironią — nie pracowałbym sam tylko.

— Bo ty działasz zawsze jakoś tajemnie — rzekł Jan.

— Z takimi ludźmi jak wy, muszę. Mówicie, że jestem próżniakiem, a to raczej wy...

— Daj mi jaką robotę, a obaczysz...

Michał zaśmiał się ironicznie.

— Et! — zawołał — kiedy balibyście się!

— Bali, czego?

— Wejść pewnego poranku na wschody w Auxerre, z których się już nie schodzi.

— Toby się trzeba przekonać — odrzekł Jan.

Oczy starej błyszczały.

— A ja — rzekła — widzę, że nasz Michałek ma jakiś dobry interes napięty.

— To możliwe.

— I nie potrzebujesz nas? — zapytał Szymon.

— Balibyście się.

— Pleciesz!

— Nie, stanowczo — odpowiedział Michał. — Nie takich ludzi mi potrzeba! Wolę sam robić moje interesa.

— Michale!

— Dziecko moje!... — rzekła stara z wyrazem nagłej czułości.

— Nie masz więc zaufania do twego najstarszego brata? — zapytał Szymon tonem pieszczotliwym.

— E! — mruczał Michał — wy nie jesteście ludźmi jak należy, i gdyby ojciec powrócił, nie poznałby już swojej rodziny!

— Ale jak możesz tak mówić?! — zawołała Klara Balthazar.

Michał mówił dalej, śmiejąc się ironicznie:

— Zrobili się z was poczciwi wieśniacy. Kłusujecie, macie zające w Frettoye, na co wam więcej? A zające te warte cztery franki dzisiaj. To wam wystarcza. Nie żyje się, ale wegetuje. To zawsze tak. Ale trzymajcie się zajęcy moje dzieci. Kłusowanie grozi wprawdzie więzieniem, ale można wyjść z niego — nie ma niebezpieczeństwa.

— A więc! — odezwał się Szymon — jeżeli chcesz nas wziąć z sobą, zobaczysz, że wschody, o których mówisz, nie przestraszą nas wcale.

— Przestraszą nas? — zaśmiała się stara — przestraszą ty myślisz? Gdyby kiedy nas ścinano, obaczysz! Ja wtedy muszę pójść ostatnia, ażeby być pewną, że nie powiecie nic złego o mnie w ostatniej godzinie.

— Matko — odpowiedział Michał — miałbym może zaufanie do ciebie, ale bracia!...

— Ja ręczę ci za nich — odrzekła stara.

Michał wzruszył ramionami.

— Jakto? — zawołał Szymon — czy myślisz, że strzelamy gorzej od ciebie?

— Nie mówię tego...

— I że jeżeli trzeba zabić człowieka, pędzącego galopem, jak sarnę w locie, chybimy? — dodał Jan.

Michał zaśmiał się głośno.

— A! widać, że matka już coś naplotła! — zawołał.

— Między nami można wszystko powiedzieć — mruknęła stara.

— Ale jak się dużo gada, zawsze na końcu wyłapią — odrzekł Michał. — Widzicie więc, że najlepiej będzie gdy umknę. Który z was może się kiedyś upić w szynkowni w jakiem miasteczku, wygada się i schwycą mię.

— Nie znasz nas — rzekł Szymon.

— Dosyć już tego, rozumiem! dobranoc wam!

I Michał zarzucił strzelbę na ramię i chciał niby to wyjść. Ale stara położywszy mu na ramieniu rękę szeroką i kościstą, zatrzymała go mówiąc:

— Słuchaj mały, założę się, że wiem myśl twoją.

— A! wiecie?

— Masz jakiś interes na tę noc.

— To możliwe.

— Jest jakaś piękna robota. A jak ją zrobisz, to ucieekniesz.

— Może być! — zaśmiał się Michał.

— I nie chcesz się dzielić? — rzekł Szymon cierpko.

— Mówisz braciszku jak z otwartej księgi.

— A więc niechcesz nas zabrać?

Michał zdawał się wahać.

— Ale nie! Robota za ciężka dla was.

I mówiąc to, śmiał się ciągle ironicznie.

— Powiedz przecie. Obaczymy.

— Jeszcze czego brakowało! — wykrzyknął Michał, — Powiedzieć, a wy potem niezechcecie iść.

— A jeżeli ci obiecam, że pójdę?

— Nie wierzę wam.

— A więc — rzekł Jan, który trzymał ciągle w ręku swoją część złota — weź te pieniądze. Jeżeli nie pójdę, zabierzesz je sobie.

Szymon naśladując swego brata, położył także pieniądze na stole.

Michał usiadł, włożył znów strzelbę między nogi i odezwał się:

— Domyślacie się jednak może, że po tej robocie, trzeba będzie zmykać i to jak najprędzej.

— A więc zmykniemy — odrzekła stara.

— Nie rachując, że jeżeli nam się uda — mówił Michał — mamy zapewniony chleb na całe życie.

— Jakto, co mówisz?

— Czy nie przypominasz sobie matko czasów, w których napadano na dyliżanse?

— Tam do djabła! pamiętam dobrze — odrzekła stara z uśmiechem. — Ale teraz już to się skończyło.

— Tak, z dyliżansami być może, ale z powozami prywatnemi...

I Michał zrobił minę tajemniczą.

— No mów! — zawołał Szymon — o co chodzi?

— Chodzi o sto tysięcy franków — odpowiedział Michał z tym samym spokojem.

Ta ogromna cyfra zrobiła takie wrażenie na bandytach, że o mało nie spadli ze stołków, na których siedzieli.

— Ależ on oszalał! — wykrzyknął Szymon.

— Sądzę, że drwi sobie z nas — dodał Jan.

— A co? widzisz matko — zawołał Michał — że oni już się boją.

— Et, Michałku — zaśmiała się stara — powiedz nam o co chodzi?

— Nic to nadzwyczajnego — zaczął Michał. — Znacie zamek Rochepinte?

— Zamek markiza B.?

— Tak właśnie. Byłem tam dzisiaj i widziałem, że myto jego powóz.

— Czy markiz udaje się w podróż?

— Czy bierze ze sobą sto tysięcy franków? — zapytała stara, której oczy poczerwieniały jak głownie.

— Nie on, ale jedna pani, która jest u niego. I pani ta ma maleńki kuferek ze sobą.

— Dobrze!

— W tym kuferku są brylanty wartości przeszło sto tysięcy franków.

Szymon potrząsł głową.

— Jednakże to towar, który sprzedać nie łatwo.

— To zależy od okoliczności — odpowiedział Michał.

— Jakto?

— No, a przypuśćmy, że nam się uda i że mamy brylanty.

— A więc? — szepnęła stara.

— Matka idzie o trzeciej godzinie rano, najmuje wóz i osła od młynarza w Mailly i czeka nas koło doliny Lisigny.

— Dobrze, a potem?

— Schodzimy się z nią dodnia i idziemy spokojnie na targ do Avallon, gdzie nas widują zwykle. Wieczór odjeżdżamy.

— I wracamy tutaj?

— Nie. Jedziemy dalej do Chastelleux, koło zamku Chinon i tak przejeżdżamy całą Burgundję aż do Macon. Najlepsza droga jest zawsze najdłuższa i tak: podczas gdy my będziemy jechać dniem spokojnie jak jacy poczciwi biedacy, jadący próbować szczęścia gdzieindziej, szukać będą tych co zabrali brylanty koło Paryża.

— Nie źle to obmyślane — odrzekł Szymon — ale my mamy zanadto dobrą reputację, aby nas nie podejrzywano.

— Niech będzie. My przyjeżdżamy do Macon, jedziemy statkiem aż do Lugdunu, z Lugdunu dostajemy się do Szwajcarji, a tam już łatwo sprzedać brylanty.

— Ależ to rozumowanie jak kazanie księdza — zaśmiała się stara z ironią.

Michał mówił dalej:

— Nie licząc na to, że to może tak zrobić się samo.

— Co mówisz?

— I że nikogo nie będą podejrzywać...

— He? — rzekł Jan — nie rozumiem zupełnie.

— A więc słuchajcie.

I Michał zapaliwszy spokojnie fajkę i wciągnąwszy kilka razy kłęby dymu w siebie, tak ciągnął dalej:

— Mam pewne wiadomości. Dama z brylantami odjedzie dziś wieczór z Rochepinte około północy.

— Dziwna godzina jednak...

— To prawda. Ale to dla tego, aby być na czas na pociąg, odchodzący o piątej rano z Auxerre.

— Ale przecież nie jedzie sama?

— To jest: będzie furman powożący czterma końmi, dwóch lokai z tyłu i pani ta wewnątrz powozu, razem cztery osób.

— To jest cztery wystrzały — rzekł zimno Szymon Balthazar.

— Za ośm sou prochu dla stu tysięcy franków, to nie drogo! — zaśmiała się szyderczo stara.

— Cztery wystrzały lub jeden — odrzekł Michał.

— Jakto? — zawołał Jan — ty chcesz zabić cztery osoby jednym wystrzałem?

Uśmiech pogardliwy przebiegł po ustach Michała.

— No! obaczycie, że jestem zręczniejszym od was!

I Michał mówił dalej:

— Znacie, nieprawdaż, tak zwany wąwóz „Człowieka zmarłego“ w środku lasu Frettoye?

— Do djabła! naturalnie że znamy — odrzekł Szymon.

— Droga prowadzi tamtędy. Jest tam ładny skok.

— Czy chcesz aby powóz zrobił ten skok?

— Mam myśl taką.

— Ale jakim sposobem?

— Miejsce jest bezludne, wąwóz głęboki. Droga po pochyłości raptownej zwraca się nagle, i wiecie, że zawsze furman musi hamować powóz w tem miejscu.

— To jest — odezwał się Jan — że gdyby dyszel złamał się w powozie, wpadliby w wąwóz. Czy dyszel w powozie markiza jest pęknięty?

— Nie, ale konie mogą się spłoszyć i unieść ich po tej pochyłości.

— A! to co innego. Ale furman ma silne ręce.

— Nie zaprzeczam, ale mam nadzieję, że lejce porwą mu się w ręku. A potem nie można wiedzieć...

— To wszystko nie tłumaczy mi strzału.

— A jednak to całkiem naturalne. Z prawej strony drogi wznosi się las, na górze pochyłość, wąwóz na lewo. Jeden z nas ukryje się w gęstwinie. W chwili gdy powóz nadjedzie, strzeli, niby to do zająca biegnącego przez drogę, a blask wystrzału olśni oczy koni, które spłoszą się i popędzą jak szalone. Gdy zejdziemy do wąwozu, obaczycie, że nikt żywy nie będzie: ani słudzy, ani pani, a powóz zdruzgotany znajdziecie w tysiączne kawałki.

— Ale gdyby — odrzekł Szymon — to nam się nie udało?

— W takim razie zamiast jednego wystrzału będzie cztery. No cóż podoba się to wam?

— Mnie bardzo — rzekł Szymon.

— I mnie także.

— A więc matko — rzekł Michał — trzeba pożegnać się z chatą i idźcie poszukać wozu i osła u młynarza.

A stanąwszy na progu i spojrzawszy na gwiazdy, zawołał:

— Dalej w drogę ruszajmy, mamy czas, ale zawsze lepiej być zawcześnie niżeli się spóźnić!

XXIII.

Było około dziesiątej godziny wieczór.

Na wsi, im dnie są dłuższe, tem wieśniak wcześniej się kładzie. Z brzaskiem jutrzenki jest on już na nogach, ale o dziewiątej wieczór spi doskonale, pogrążony w śnie głębokim, jakiego udziela zmęczenie fizyczne. Wówczas możesz przejeżdżać koło chat wieśniaków czwórką koni nawet z dzwónkami, a mało kto cię usłyszy.

Od dziewiątej godziny wieczór do trzeciej z rana, pola i lasy należą do kłusowników. Straż, która się błąka w lesie aby ich chwytać, jest tem rzadszą, że naraża swe życie dla protokółu, który im przynosi wynagrodzenia dziesięć franków.

A przytem strażnicy w ogóle są żonaci, ojcami familji, a żony zwykle, gdy który ma ochotę wyjść, mówią głosem drżącym:

— Mój kochany, jeżeli kto strzeli do ciebie, co się stanie z twemi biednemi dziećmi?!

I strażnik kładzie się napowrót i spi do białego dnia. Kłusownicy wiedzą o tem i z tego korzystają.

Otóż stara matka Balthazar i jej trzej synowie, nim opuścili dom, do którego nie myśleli więcej wrócić, taką mieli naradę. Stara mówiła:

— Ale jeżeli mielnik jest w drodze? On wyjeżdża także często na targi.

— Pójdziecie do kowala, ma on dobrego muła. Wynajmuje go drogo, sześć franków dziennie, ale ludzie, którzy się spodziewają takiego majątku, nie uważają na wydatki — odpowiedział Michał.

— Tak, to prawda — mówił Szymon.

— A nie zapominajcie matko zabrać resztki pieniędzy — dodał Jan.

Myślał on o pieniądzach rzeźnika, wykopanych w lesie za wskazówką cygana Fanfreluche.

— Jużeśmy dużo ich przepuścili — odrzekła stara. — Jemy doskonale od miesiąca. Mamy zaledwie połowę.

— Mamy zawsze jednak dosyć, aby dostać się do Szwajcarji.

I tak rozmawiając stara robiła przygotowania do odjazdu. Ale wzdychała i widać było, że mimo swej chciwości doznawała pewnego wzruszenia, opuszczając ten dom, w którym wychowała dzieci i żyła przez lat dwadzieścia.

Michał zauważył nawet łzę w jej oku.

— No, jeszcze czego brakowało matko — zawołał — czy nie zaczniecie beczeć teraz, że opuszczamy to stare gniazdo?

— Będziemy mieli całkiem nowy dom w Szwajcarji — dodał Szymon.

— Mówią, że to dobry kraj.

— I że niema żandarmów — dokończył zaśmiawszy się szyderczo Michał.

— To wielka szkoda, że wszystkie kraje nie są tak urządzone — odrzekła stara zaśmiawszy się boleśnie. I wyszli z chaty.

Matka włożyła w koszyk garniec rzeźnika. W garncu tym była reszta pieniędzy.

Wszyscy bracia ponabijali strzelby. Zamknęli drzwi i zeszli w dolinę. Uszedłszy kawałek drogi obrócili się. Oberża „pod Sową“ wznosiła się ponura na pagórku, a lampka, którą zostawili zapaloną umyślnie, migotała za szybami oklejonemi tłustym papierem.

Zatrzymali się wszyscy chwilę, wpatrując w tę masę czarną, wpośród której błyszczał punkcik jasny.

Stara otarła łzy. Michał, który nie był uczuciowym, odezwał się:

— Dobrze się stało, żeśmy zostawili lampę zapaloną.

— Dlaczego?

— Bo może ktoś przechodzić drogą i można potem nim się zaświadczyć.

Szymon zmarszczył brwi.

— O czem myślisz? — zapytał Jan.

— Myślę, że jak będą widzieli, że nas nie ma, żandarmi zrobią rewizję u nas.

— Cóż nas to obchodzi? — odrzekł Jan.

— A gdyby, przeszukując dokładnie, odkryto wejście do starej piwnicy, którąśmy odnaleźli, dziwne rzeczy tamby znaleziono.

— Ba! — zaśmiała się szyderczo stara, która nareszcie stłumiła wzruszenie — to butwieje prędko w ziemi. Znajdą kości, ale nie będą wiedzieli czyje, tembardziej, że paliliśmy zawsze rzeczy.

— A zresztą — dodał Michał — rzemiosło nasze zawsze ryzykowne, cóż robić! Dobranoc wam matko... a nie bawcie się w drodze.

— Zejdziemy się w dolinie Lisigny, nieprawdaż?

— Tak matko.

I okropna ta kobieta uściskała swych synów, i mało brakowało a byłaby ich pobłogosławiła. Rzekłbyś, że to matka z średnich wieków, rozłączająca się z swymi synami, idącymi do Palestyny.

Potem poszła główną drogą, prowadzącą do Mailly, a synowie skierowali się ścieżką do Frettoye.

Las znali tak dokładnie, że przeszli go w prostym kierunku, i przybyli w niespełna półtory godziny na drogę z Coulanges do Auxerre.

Tu Michał zatrzymał się chwilę i znowu wpatrzył w zegar niebieski, to jest w gwiazdy.

— Zdaje mi się, że już północ — rzekł — nie potrzebujemy obawiać się straźników. Pokładli się z pewnością.

— Tak, ale błąkają się kłusownicy pod lasem, a wiesz, że są tacy, którzy mówią chętnie — odpowiedział Szymon.

— Tembardziej — dodał Jan — że nie jeden nam zazdrości.

— Nie ma już kłusowników o tym czasie — odrzekł Michał. — Wiecie dobrze, że zające wychodzą wcześnie.

— Tak, ale sarny idą do wody.

— Jest to pora, że można ich zabić teraz ile się podoba i nie ma potrzeby zrywać się przed trzecią.

— A więc to do wąwozu „Człowieka zmarłego“ idziemy? — zapytał Szymon.

— Naturalnie.

— Dom Chauvina jest tam niedaleko.

Chauvin był to strażnik leśny, którego domek wznosił się na łączce sąsiedniej, niedaleko drogi.

— Nie bój się Chauvina — odrzekł.

— Dlaczegoż to?

— Bo żona jego spodziewa się lada dzień potomka i nie zostawi jej samej, bądź spokojny.

I tak idąc i rozmawiając, przybyli wkrótce do miejsca naznaczonego.

O wąwozie „Człowieka zmarłego“ opowiadano taką legendę:

Pewnego poranku, już sto lat może temu, żandarmi przechodząc tamtędy, znaleźli leżącego na drodze trupa młodego człowieka, ubranego elegancko, który widocznie roztrzaskał sobie głowę wystrzałem z pistoletu. Miał przy sobie sakiewkę pełną złota, ale nie było żadnych papierów, żadnego listu, któryby mógł odkryć jego osobistość. Człowiek ten był widocznie obcokrajowcem. Policja robiła ścisłe poszukiwania, ale wszystko nadaremnie i nic nie wykryto. Pochowano go wreszcie na cmentarzu w Courson, ale wąwóz gdzie go znaleziono, zachował jego imię.

Droga w tem miejscu wznosi się nad wąwozem o jakie sto stóp. Na prawo widać las. Na lewo przepaść, którą stworzyła kapryśna natura.

Spadzistość jest bardzo raptowna, a na końcu zwrot tak nagły, że miejscami porobiono poręcze. Ale poręcze rzadko wstrzymują wypadki, a i w tym czasie opowiadano sobie jako niedawno zaszły wypadek, że jakiś rzeźnik, jadąc na jarmark do Auxerre, wyjechał z Coulanges trochę podchmielony i zamiast trzymać konia silnie w ręku, zaczął go popędzać batogiem. Koń rozgniewany puścił się galopem, a dojechawszy do skrętu, popchnięty wózkiem przełamał poręcz i zabił się wraz z nieszczęśliwym rzeźnikiem.

Dziesięć lat przedtem pięciu podróżnych doznało tego samego losu.

Dla tego też dyliżans z Clamency, który przejeżdżał tamtędy z wieczora, nie tylko hamował powóz, ale jeszcze zakładał hamulce żelazne na koła.

I dlatego Michał miał słuszność sądząc, że jeżeli konie się przestraszą, nie będzie potrzebował ani on, ani jego bracia, strzelać do furmana i lokai.

Zresztą konie markiza były nadzwyczaj bystre i tylko sam markiz albo jego furman, silny Irlandczyk, mogli je utrzymać w ręku.

Wreszcie miejsce to było puste. Z wyjątkiem domku strażnika Chauvina, który się znajdował o ćwierć mili pod lasem, nie było nigdzie w około żadnego mieszkania, żadnego dworku, ani nawet chatki węglarzy w sąsiedztwie, a zatem przypuściwszy, że zamiar piekielny Michała udałby mu się, nikt nie mógłby przyjść z pomocą nieszczęśliwym, którzy wpadli by w wąwóz.

Gdy byli już na miejscu, Michał rzekł:

— Ja biorę na siebie pierwszy strzał. Stanę w połowie pochyłości wzgórza.

— Ależ — odrzekł Szymon — musimy pomyśleć o tem, gdyby furmanowi udało się powstrzymać konie.

— Naturalnie, że musimy pomyśleć.

— A więc gdy przejadą skręt co zrobimy?

— Bardzo poprostu — odrzekł Michał. — Jan i ty, staniecie o dwadzieścia metrów za skrętem.

— Dobrze!

— Jak obaczycie latarnie powozu, zbliżające się do was, strzelicie jeden do furmana, drugi do koni w biegu. Jestem pewny strzału Szymona, a co do ciebie Janie, spodziewam się, że nie chybisz konia. Otóż moje dzieci, raz powóz zatrzymawszy, musicie odważyć się na wszystko. Oni będą mieli z pewnością także strzelby w powozie i lokaje użyją ich, wierzcie mi.

— Cicho! — szepnął nagle Szymon.

— Co takiego? — zapytał Michał.

— Słyszę odgłos dzwonków.

Michał schylił się i przyłożył ucho do ziemi.

— Przybywamy trochę za późno — szepnął Jan.

— Nie — odrzekł Michał wstając. — Pomyliłem się patrząc w gwiazdy o godzinę.

Był to istotnie odgłos dzwonków, ale nie od powozu markiza.

— Cóż to takiego?

— To powóz z Clamency.

I przeskoczył rów na drodze. Bracia jego zrobili tak samo i wszyscy trzej ukryli się w krzakach.

W dziesięć minut potem, światło czerwonawe ukazało się na wzgórzu.

— Widzicie — szepnął Michał — to powóz z Cla-

mency, który ma zawsze tylko jedną latarnię czerwoną.

— Prawda — odrzekł Jan. — Powóz markiza ma dwie latarnie, wielkie i jasne jak słońce.

Dzwonki słychać było coraz wyraźniej, a światło, które chwilę było nieruchome na wzgórzu, podczas zakładania hamulca, teraz migotało się i zbliżało coraz szybciej.

— Żeby tylko pocztylion nie był pijany — mruknął Michał — bo nie jego to chciałbym widzieć, aby zjechał w wąwóz.

Powóz zjeżdżał wolno z kwadrans.

Trzej bracia siedzieli ukryci, nieruchomi.

Nareszcie dyliżans przejechał, ominął skręt bez przeszkody i w dziesięć minut potem zniknął w oddali.

Michał wyskoczył wtedy pierwszy z za krzaka.

— Przyszła mi myśl dobra — zawołał.

— Cóż to takiego? — zapytał Szymon.

— Dziś rano chciałem się pozbyć mego sznura.

— Jakiego sznura?

— Którym spuszczałem jeść cyganowi.

— To cóżeś z nim zrobił?

— Mam go okręcony naokoło siebie — odpowiedział Michał rozpinając bluzę.

— Cóż chcesz z nim robić?

— Obaczysz. Chodźmy aż do skrętu.

I Michał odwiązał sznur i rozpuścił go.

— Patrzcie — rzekł, gdy przyszli na to miejsce, gdzie droga skręcała się nagle — przypuśćmy, że będzie jakaś przeszkoda niewidoczna, o którą konie zaczepią się w biegu.

— Dobrze, cóż potem?

— Droga nie jest szeroka jak widzicie. Konie rzucą się nagle w bok, terenu im zabraknie, poplączą się między sobą, a pociągnięte polecą i bęc! Rozumiecie?

— Myśl wyśmienita! — szepnął Szymon.

— Nieprawdaż? Z tem wszystkiem potrzeba, żeby konie tylko trochę się przestraszyły...

— Zdaje mi się — odrzekł Jan, śmiejąc się -- że przytem zaoszczędzimy prochu nie mało.

— I ja tak myślę — odrzekł Szymon.

Sznur Michała był dostatecznie długi do tego użytku, przytem dość cienki, i trudno było, aby go mógł spostrzedz furman w nocy, choćby najlepsze miał oczy.

Michał przeskoczył znowu rów i przywiązał sznur do pnia drzewa. Potem powróciwszy na drogę, przywiązał drugim końcem do poręcza.

— Zawiązujesz go zanadto wysoko — rzekł Szymon.

— Nie — odpowiedział Michał. — Nie chcę, aby koniom nogi się poplątały, ale aby uderzyły się w piersi i skoczyły wstecz.

— Ma słusznie — odrzekł Jan.

— A jeżeli sznur się urwie i powóz się wywróci?

— Wtedy strzelicie.

Michał przybrał minę jenerała rozporządzającego plan bitwy. Kazał stanąć braciom w krzaku o trzydzieści kroków od skrętu.

— Teraz — rzekł — czekajcie. Reszta do mnie należy.

I poszedł na górę powoli, a wkrótce zniknął braciom z oczu skręcając na lewo.

— Nasz Michał — odezwał się Szymon — jest przecie mądry chłopak! Najmłodszy z nas, ale tęga głowa.

— I wyborne oko — mruknął Jan.

— Szkoda, że sami nie wpadliśmy na tę myśl — odrzekł Szymon.

— Dlaczego?

— Dlatego, że obeszlibyśmy się byli bez niego.

Jan zaśmiał się.

— Myślisz o podziale? — zapytał.

— Naturalnie! — mruknął Szymon. — Zawsze lepiej dwóch do podziału niż trzech. Co myślisz?

— I ja tak myślę, ale...

— Ale co?

— Jeżeli wszystko dobrze się powiedzie, trzeba będzie dać mu jego część.

— Nie przeczę, jednakże... — i Szymon zdawał się wahać.

— Masz jakąś myśl, widzę.

— I dobrą.

— No, mów!

— Powiedz mi, czy ty lubisz Michała?

— Nienawidzę go! — odrzekł Jan. — Matka miała zawsze słabość do niego, a to mnie irytuje.

— Mnie także. A gdybyśmy tak, gdy nam się uda ta wyprawa, pozbyli się go?

— Jakto?

— Zupełnie po prostu. Najpierw, jeżeli powóz się wywróci, będziemy mieli strzelby nasze ponabijane.

— Dobrze!

— Jego przeciwnie będzie wypalona, ponieważ strzeli do koni.

— Słusznie.

— Gdy powóz upadnie w wąwóz, przybiegnie do nas, bo można zejść tylko drogą, która jest o dwa kroki.

— A potem?

— Ty albo ja strzelimy do niego...

— Plan łatwy do wykonania — odrzekł Jan zimno.

— A więc dobrze, zgoda?

— Zgoda.

— W takim razie tylko cierpliwości.

— Ale cóż powiemy matce?

— Co powiemy? — odrzekł Szymon — Ależ to bardzo łatwo. Powóz nie wywrócił się. Trzeba było strzelać....

— Dobrze.

— I Michał został zabity. A potem zresztą — dokończył Szymon — gdy będziemy mieli brylanty, stara prędko się pocieszy.

— Cicho! — zawołał nagle Jan.

Leżeli obaj pod wiatr z twarzą do ziemi obróconą.

Jan który miał słuch doskonały, podniósł się nagle, mówiąc:

— Słyszę dzwonki.

— I ja także — odrzekł Szymon po chwili wsłuchiwania się.

W istocie, wpośród ciszy nocnej, słychać było wyraźnie odgłos dzwonków pocztowych.

Obaj bracia stojąc nieruchomo, z strzelbami odwiedzionemi, wpatrzyli się w punkt jeden.

Nagle lekko zaczerwieniło się, potem na górze na drodze ukazały się jakby dwie gwiazdy spuszczające się z nieba, dwie latarnie czerwone u sławnego powozu markiza.

— Otóż i oni... — szepnął Szymon.

— Baczność! — mruknął Jan, któremu serce zabiło.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.